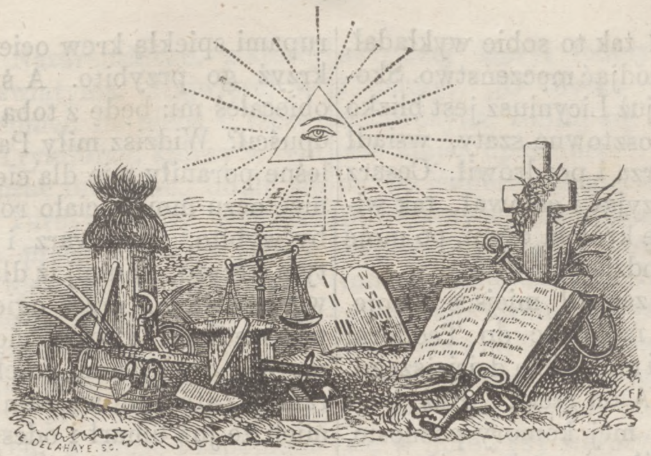
№ 27.

WARSZAWA

6 Lipca

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Święty Teodor.— Jeniec Tatarski.— Termometr czyli ciepłomierz.— Spostrzeżenia terminatora. Łatwy wybór, poezya. — Różności: Podróż rzemieślników lwowskich do Londynu; Język polski i szkoły w Górnym Szląsku; Książeczki do nabożeńswa p. Kamockiej; Arytmetyka p. Żulińskiego; Szkoły wieczorne rzemieślnicze w Warszawie; Szkółki po wsiach.*

Święty Teodor.

Cesarz Licyniusz wschodnim państwom po onym okrutnym Maksyminie, sam jeszcze okrutniejszy, rozkazywał i wiarę świętą chrześcijańską wywrócić, a zburzyć próżno chciał, przez wielkie na sługi Boże prześladowanie. A iż takich wiele musiałby zabijać, gubić i męczyć ze wszystkich stanów i lat, bojąc się więc spustoszenia miast i ziemi, on okrutnik postanowił sobie nie wszystkie chrześciany, ale tylko przedniejsze gubić. Między innymi był bardzo sławny rotmistrz i hetman w wojsku rzymskim na imie Teodor, urodziwy wielce, mężny i bogaty, a domu zacnego, uczony, wymowny, a nadewszystko dobry bardzo chrześcianin i bogobojny sługa Boży. Ten trochę przedtém swoją wielką wiarę i męztwo pokazał nad okrutnym smokiem, który się był w jego ojczyźnie znalazł. Ten cud widząc, wiele ludzi pogańskich chrzest święty wzięli, w tego Boga wierząc, który takie zwycięztwo dał Teodorowi. O tym dowiedziawszy się Licyniusz, z Nikomedyi posłał do niego nie mały poczet żołnierzów aż do Heraklii, blizko Morza Czarnego, gdzie natenczas święty Teodor przemieszkiwał, aby go uczciwie do niego przywiedli. Przyjechawszy żołnierze do niego, powiedzieli mu, iż cesarz pragnie widzieć osobę jego. Święty Teodor poznawszy chytrość Licyniusza, iż go o wiarę chrześcijańską stracić chciał: słowami cudnemi onych posłańców odprawując, na kilka dni ich przy sobie zatrzymał; potém część ich odesłał do Licyniusza z tém, aby sam cesarz nie lenił się przyjechać, nabrawszy bogów swoich z sobą, żebym przy jego obecności na tym miejscu sam ofiarę im czynił. Rzecz się to zdała nieprzystojna cesarzowi tam jechać; ale gdy mu powiedzieli o zacności, wielkich cnotach, i męztwie tego Teodora, powiedział: jeżeli on bogi uczci, wiele innych chrześcian za sobą od Chrystusa odwiedzie; jechał tedy do Heraklii cesarz, mając z sobą do ośm tysięcy ludzi.

Tej nocy po której nazajutrz wjechać miał w miasto Licyniusz, widział święty Teodor przez sen, iż był gdzieś na wysokim domie, a ogniste nań strzały leciały, i głos taki z nieba do niego: „Nie bój się Teodorze, jam z to-

bą.“ Skoro się ocknął tak to sobie wykładał, iż miał dla Chrystusa podjąć męczeństwo. Skoro mu powiedzieli, że już Licyniusz jest blizko miasta, oblókł się w kosztowne szaty, wsiadł na konia, spotkał cesarza i pozdrowił. Cesarz go z wielką ochotą przyjął i całował, tak witając: „Uroda sama cię królem czyni, po mnie być cesarzem jesteś godzien.“

Potém gdy cesarz zasiadł miejsce swoje, mówiąc wiele, rzekł nakoniec do Teodora: „Proszę cię, uczcij bogi moje dnia dzisiejszego, ofiarę im czyniąc.“ A on rzekł: „Każ bogi twoje przedniejsze do mej komory poznosić, abym pierwej je okadził w domu i uczcił; a potém do ciebie je przyniósłszy, przy tobie ofiarę im uczynił.“ Był temu rad cesarz i gdy przyniesiono je do Teodora, on zamknąwszy się z nimi, wszystkie potłukł, porozbijał, a ono złoto i srebro, z których byli uczynieni, ubogim porozdawał. Po dwóch dniach upominał się cesarz obietnicy, mówiąc: „Pokaż chęć twoję ku bogom, żeby się z ciebie drudzy zbudowali.“ Na to odezwał się jeden jego dworzanin: „Wczoram widział naszej wielkiej bogini Dyany rękę u jednego żebraka; wierzże mi cesarzu, iż cię ten Teodor oszukał.“ A Teodor rzecze: „Jako Chrystus Bóg mój jest, tak to prawda co on mówi, jakąż ci bogowie wam pomoc dać mogą, jeżeli się sami z moich ręku wybawić nie mogli?“ Tedy prawie zdumiawszy się cesarz, a twarz od gniewu mieniąc, rzecze: „Przy tak wielu ludziach śmiesz się z cesarza śmiać i żarty stroić? Co mam czynić z tym złym człowiekiem, dla któregom tu przyjechał, czcząc go w tém, a on mnie tak uczcił?“ A Teodor święty rzecze: „Gniewasz się i szemrzesz cesarzu, ale ja wołam, ty z Bogiem walczysz, a ja o Bogu mówię, ty go bluźnisz, a ja go chwalę, ty umarłym służysz, a ja żywego mam, tyś jest wąglik z Tracyi, a jam jest Rzymskim książęciem; tyś Licyniusz to jest *wiejadło*, a ja Teodor, to jest *dar Boży*. Nie gniewaj się cesarzu, bo sam swoją mękę pokazujesz, a mułowi podobny jesteś.“

Tedy Licyniusz bardzo gniewem zapalony, porwać Śgo Teodora i zwlókłszy go, 600 plag na grzbiecie, a 500 na brzuchu zadać mu kazał. I potem go bez użalenia bić ołowianemi pręcikami, potém kopytami żelaznemi targać, blachami rozpalonemi rany jego palić i skorupami spiekłą krew ocierać kazał, potém na krzyż go przybito. A święty wołał: „Panie obiecałeś mi: będę z tobą, czemużeś mię teraz opuścił? Widzisz miły Panie, zwierz i bestye leśne poraniły mię dla ciebie; wystrzelali źrenice oczu moich, ciało rozpuścili ogniem, zęby wybito, sina twarz i kości wysuszone na tym krzyżu. Pomnij iż dla Ciebie na tym drzewie zawisłem, przez ogień, żelaza i gwoździe przeszedłem. Proszę cię więc wezmij ducha mego, a czyń z nim, co chcesz, boć już umieram.“ Zatém mowę zamknął, wszyscy rozumieli że już umarł i odeszli.

W pierwsze sny w nocy Anioł Boży zdjął go z drzewa, uczynił zdrowego i całego tak jako pierwej był i rzecze: „Bądź dobrej myśli, a umocniaj się w mądrości i łasce bożej, oto Pan z tobą; czemużeś mówił: Opuścił mię i odszedł odemnie? Teodor święty dziękował Panu Bogu i z weselem chwałę jemu śpiewał.

Licyniusz okrutny, niźli dzień rozedniał, ciało Teodora świętego przynieść do siebie kazał, chcąc je w morze w skrzyni ołowianej wrzucić, żeby nie znaleźli chrześcianie. Gdy żołnierze przyszli, a ujrzeli go siedzącego i śpiewającego, wszyscy ośmdziesięciu zostali chrześcianami, dowiedziawszy się o tém Licyniusz, posłał 300 aby one nowo wierzące pobili, ale i ci nowi uwierzyli i wołali: „Co to za oprawca Licyniusz? uderzmy nań kamieniami; mamy króla i Boga Chrystusa, którego Teodorus opowiada.“ Tedy wszczęło się wielkie zamieszanie, ale Teodor święty je uspokoił, mówiąc: „Chrystus mścić się zakazał, a cierpliwość nam swoją zalecił.“ Gdy powiedziano cesarzowi, że już lud niemal wszystek w Boga uwierzył, on posłał jako jadowity pies oprawce, aby głowę Teodorową mu przynieśli. Co i zrobili.

Jeniec Tatarski.

—

Było to w r. 1727. Ojczyzna nasza wówczas zostawała pod panowaniem króla Augusta IIgo. We Lwowie sławnej stolicy Czerwonej Rusi (czyli Galicyi) pewnego dnia w pięknym kościele OO. Trynitarzy, licznie zgromadziła się ludność i gorące modły zasyłała do Pocieszyciela strapionych, przed cudowną

statuą Pana Jezusa Nazareńskiego, z której naówczas słynęła ta świątynia. Najwięcej jednak ulatywało westchnień do nieba o szczęśliwy powrót ojców Trynitarzy, którzy w tym roku zebrawszy znaczne fundusze, udali się w zwykłą podróż do Turcyi, ażeby wykupić z niewoli pobranych przez Tatarów jeńców i uprowadzonych na tęsknotę, smutek i krwawą pracę w obcą ziemię. Nie pierwszy to już raz ci wielkiej duszy zakonnicy, w roku 1685 sprowadzeni do Polski, powracali z ziemi niewoli na łono ojczyzny, prowadząc z sobą jej już dawno opłakanych, a może i zapomnianych synów. Niebezpieczeństwa dalekiej podróży, srogie obejście się i zdzierstwo baszów i innych urzędników, trud, prace, wszystko to podejmowali Trynitarze, dla wybawienia zagnanych rodaków z niewoli pogańskiéj; mieli też oni miłość całego narodu i za każdą razą oczekiwano niecierpliwie ich powrotu. Każdy radował się szczęściem powróconych, a nie jeden znajdował pomiędzy wyzwoleńcami drogą swojemu sercu osobę.

I teraz spodziewano się ich powrotu i gorące modły zasyłano za jeńcami i trynitarzami, prosząc aby Bóg przez anioła swego wskazał im do domu prostą, a bezpieczną drogę. Już kapłan zaśpiewał: „Ite missa est,“ lud powstał na ewangelią; gdy nagle w tłumie modlących powstało małe zamieszanie. Każdy zwracał oczy ku jednemu z bocznych ołtarzy, na którego stopniach klęczała sędziwa niewiasta, która skutkiem osłabienia zemdlała i bezwładnie potoczyła się na podłogę. Najbliżej stojący skwapliwie rzucili się na ratunek omdlałej i wkrótce pomimo ciżby zdołano ją wynieść z kościoła, gdzie owiana świeżem powietrzem, zwolna zaczęła przychodzić do siebie. Gdy zobaczyła że się nią wszyscy zajmują, słabym głosem oświadczyła im swą wdzięczność, a podawszy rękę smukłej jasnowłosej dziewczynie, która jej towarzyszyła, drżącym krokiem odeszła do domu, który posiadała na przedmieściu. Staruszka ta zwała się Magdalena Zaleska.

Tego samego dnia jeszcze, późnym wieczorem, na łóżku zasłaném białą pościelą, spoczywała Magdałena snem osłabienia ujęta. W małym zaś przyległym alkierzyku, klęczała jasnowłosa Hanna, i cichym płaczem kończyła swój sierocy pacierz przed obrazem Najświętszej Maryi Panny ubranym w wianki i palmy: „O Matko Chrystusowa! mówiła dziewczyna, zmiłuj się nademną i wróć zdrowie mojej opiekunce.“ Przeczuwała sierota, że po śmierci zacnej staruszki sieroctwo jej powiększy się; będą ją znowuż ludzie od drzwi swoich odpychali i znowuż będą niebogą pomiatać i poniewierać... Głośne wołanie staruszki przerwało tęskne zamyślenie się Hanny, poskoczyła z miejsca i zaledwie zdołała łzy otrzeć z oczu, stanęła przy jej łóżku. Chora kazała jej usiąść przy sobie i z miłością wpatrzywszy się w miłe rysy sieroty, poczęła ją gładzić po rumianém licu- a potém odezwała się:

— Hanko ty masz oczy czerwone, czy płakałaś moje dziecko?

Dziewczyna na znak przeczenia poruszyła głową.

— Nie oszukasz ty oczów starej, moje dziecko, bo czego nie dojrzę wzrokiem, to sercem odgadnę, ty masz smutek jakiś w głębi duszy, nie prawdaż Hanuś droga? Nie trzeba nigdy rozpaczać moje dziecko, Bóg zawsze opiekuje się temi, których ludzie opuścili. Spojrzyj na mnie, siedemdziesiąt lat przeszło żyję na tym świecie, a co przez ten czas wycierpiałam, to chyba samemu Bogu wiadomo. W dziecinnym wieku jak ty byłam sierotą, wycierpiałam dużo poniewierki. Potém kiedy mój Jan kochany, świeć Panie nad jego duszą, wziął mnie za żonę i w wygodnym swoim dworeczku zrobił panią i gospodynią, byłam szczęśliwą. Ależ nie długo to było tego szczęścia. Kiedy czwarty rok kończył się naszego małżeńskiego pożycia, straszni i dzicy Tatarzy napadli na nasz kraj kochany, palili domy, rabowali majątki, niszczyli zboża i mnóstwo naszych do niewoli zabierali. Napadli i na mój cichy domek, mężny mój Jan który w młodości służył wojskowo, bronił się długo, aż w końcu poległ wraz z innymi w obronie rodzinnej wioski. Dworek nasz spalony i zniszczony, została po nim kupa osmalonych cegieł i popiół. Najstarszy nasz syn Janek, trzechletni chłopczyk, jak dwie krople wody podobny do ojca, w tym pożarze i zniszczeniu zaginął gdzieś bez śladu, zapewno go Tatarzy porwali; młodszego ocaliła wprawdzie piastunka, lecz i ten w parę miesięcy potém skonał na mojém ręku, a ja zostałam ubogą i więcej jeszcze osieroconą niż przedtém,

nikogo już bowiem nie miałam na świecie. Parę lat przepędziłam u krewnych męża, a w tym właśnie czasie umarła daleka powinowata mej nieboszczki matki, i zapisała mi ten oto domek, w którym mieszkam. Ta odmiana losu nie ucieszyła mnie bynajmniej, niestety! nie miałam już teraz podzielić z kim mojego dostatku. Moi wszyscy ukochani w grobach spoczywali, a ja chociaż młoda jeszcze, miałam serce ciężko zranione i już na wdowieństwo wieczne skazane. Przybyłam do Lwowa dla objęcia mej posiadłości, w której mi się tylko myśl własnego kątka uśmiechała, ale tęsknota prześladowała mnie wszędzie. Nie mogłam się oswoić z mojém położeniem, bo wszędzie czułam się sierotą. O wieleż razy piękniejszym wydawał mi się ów szczupły spalony dworek, ze swemi bielonemi ścianami, wśród których rozlegał się niewinny śmiech moich dziatek, z prostemi dębowemi sprzęty, gdzie mój ukochany Jan wypoczywał po pracy, lub przy świetle płonącej sośniny, opowiadał mi różne przygody swego żołnierskiego życia. Jedyną moją pociechą były kościoły, gdzie przynajmniej Bogu mogłam powierzyć moje cierpienia. Najlepiej jednak zawsze lubiłam chodzić do kościoła OO. Trynitarzy, gdzie mnie też razu pewnego wielka spotkała pociecha. Szukając ulgi zbolałemu sercu, udałam się tam do spowiedzi, spowiednikiem moim był natenczas znany z swej świątobliwości ksiądz Ambroży, dziś już sędziwy kapłan. Słowa jego jak prawdziwy balsam uleczyły chorą moją duszę, on to bowiem nauczył mnie słodzić sieroctwo służbą Bożą dla nieszczęśliwych. Radził mi zająć się wychowaniem ubogich sierot; rada jego pokrzepiła mnie i osłodziła życie. Stałam się zupełnie inną niż byłam dotąd, zajęłam się znowuż mojém gospodarstwem. Z moich dochodów rok rocznie odkładałam małą sumkę, przeznaczoną na wykupienie jednego niewolnika z rąk tatarskich, i oddawałam je czcigodnym Trynitarzom, ile razy ci wybierali się do Konstantynopola wyrywać bliźnich z niewoli. Tak oto przeszło długie życie moje. Od czasu w którym oddałam się na usługi bliźnim, już ani razu nie doznałam smutnego zwątpienia. Dzisiaj nawet podczas modłów za dusze moich ukochanych, uczułam tak wielką i niepojętą pociechę wewnętrzną, że nie mogąc się oprzeć słodkiemu wzruszeniu omdlałam w kościele. Kto wie może to Bóg w ten sposób objawia mi bliski mój koniec? ale niech się dzieje we wszystkiém Jego święta wola!.. Poddaj się i ty jej także Hanko moja, a tymczasem zmów paciorek i zgaś światło, bo to już bardzo późno, chciałabym usnąć, a może też jutro mi się cokolwiek polepszy.

Nazajutrz staruszka miała się gorzej, a w trzy dni potém tak osłabła, że biedna Hanna straciła zupełnie nadzieję o życiu opiekunki. Zostawiwszy sąsiadkę dla czuwania przy chorej, sama zalana łzami poszła do klasztoru Trynitarzy, żeby prosić ojca Ambrożego, który właśnie dniem przedtém wrócił z wykupionemi niewolnikami do Lwowa, aby raczył pobożną staruszkę opatrzyć ostatniemi Sakramentami. Była właśnie na wpół drogi, gdy spotkała czcigodnego kapłana w towarzystwie nieznajomego mężczyzny, którego twarz blada i smutna, wielkie na niej uczyniła wrażenie. Powitana uprzejmém słowem, krótko wyraziła prośbę swoją i wszyscy troje razem zwrócili się ku domowi Magdaleny.

Trudno opisać radość jaką uczuła staruszka na widok świątobliwego kapłana, radość ta jeszcze się bardziej zwiększyła, gdy ten opowiedziawszy jej przygody doznane w czasie swej podróży po niewolników, rzekł następnie:

— Pomiędzy licznemi niewolnikami, których za łaską Bożą udało nam się wyzwolić z niewoli, znajduje się człowiek w średnim wieku i jak się zdaje z tych okolic pochodzi. Był on zabranym przez Tatarów w młodziuchnym wieku, nie pamięta więc nic oprócz rodzinnego nazwiska, że zaś to nazwisko bardzo jest pospolite w tych stronach, i nikt nie przyznaje się do pokrewieństwa i jest jakby obcym na rodzinnej ziemi, więc sprowadzam go do ciebie Magdaleno, jako do matki opiekunki sierot. Opieka nad nim tém ci będzie milszą, że jedno z tobą nosi nazwisko.

— Niech ci Bóg błogosławi czcigodny ojcze za to, że jeszcze w ostatniej chwili dajesz mi możność dobrego uczynku. Prócz małej summy, którą przeznaczam dla mojej dobrej Hanny, cały mój majątek ofiarowałam na wykup niewolników i wsparcie powróconych.

Uścisnął kapłan ręce wychudłe konającej i poszedł po jeńca, którego chciał jej pokazać. Ledwo wszedł do stancyi wybladły nieznajo-

my i zbliżył się do łóżka chorej, staruszka krzyknęła i bez przytomności upadła na posłanie. Na krzyk ten wbiegła Hanna i z pośpiechem zaczęła ją ratować. Magdalena prędko odzyskała zmysły, skinęła ręką na nieznajomego i usunąwszy gęste czarne włosy osłaniające jego szyję, zobaczyła duże znamię jak malina i krzyknęła:

— To mój syn, to mój Janek, którego utraciłam w dzieciństwie, oto jest znak nieomylny po którym go poznałam!

Radość powróconego jeńca, który tak niespodzianie znalazł matkę, wzruszenie czcigodnego kapłana i serdeczna wesołość Hanny była ogromną. Matki szczęścia z odzyskanego syna, nikt opisać nie potrafi. Bóg chociaż późno wynagrodził jej tęsknotę i poczciwe wdowieństwo i za opiekę nad sierotami, dał jej oglądać syna. Niedługo przecież cieszyła się ze swego szczęścia Magdalena, wzruszenie tak ją osłabiło i wzmogło chorobę, że w kilka dni potém oddała Bogu ducha na ręku ukochanego syna Jana, polecając mu opiekę nad Hanną, jako sierotą, która jej córkę zastępowała.

W rok potém ksiądz Ambroży błogosławił związek Jana Zaleskiego z jasnowłosą Hanną, którą od pierwszej chwili poznania serdecznie polubił. Hanna zamieszkawszy z mężem dawną siedzibę swej dobrodziejki, najtkliwszém przywiązaniem otoczyła jego życie, wynagradzając mu takim sposobem długie dni ucisku i niewoli.

Termometr czyli ciepłomierz.

—

Do drzwi pana Franciszka urzędnika w Warszawie zapukał Jaś, chłopiec od krawca, przynoszący nowe suknie. Po chwili drzwi się otwarły i Jaś wszedł do pokoju. Zanim pan Franciszek przymierzył świeżo przyniesione ubranie, Jaś chłopiec uczciwy i uważny, a przedewszystkiém ciekawy, obejrzał się po wszystkich kątach, a uwagę jego szczególniej zajęło narzędzie, wiszące na ramie okna. Jaś widział już to narzędzie nieraz, ale nie znał ani jego użytku, ani ważności. Pan Franciszek skończył przymierzanie nowych sukien, spostrzegł ciekawość chłopca, z jaką przypatrywał się termometrowi i rzekł:

— Cóż cię tak zajęło Jasiu, że się tak uważnie patrzysz?

— A to proszę pana ta deseczka z rurką szklanną i liczbami.

— Czy nie znasz tego narzędzia?

— Nie znam panie. Widziałem go często u Pika na Miodowej ulicy, bo go tam w oknie wywiesili, wiem nawet że pokazuje ile stopni ciepła i zimna, ale nie wiem jakim to się dzieje sposobem. Mnie się zdaje, że to chyba bajka, żeby kawałek rurki szklannej i trochę żywego śrebra, mogło ludziom powiedzieć ile stopni ciepła.

— W samej rzeczy mój Jasiu, że powiada. Nie żadne to bajki, bo to się dzieje bardzo prostym sposobem. Jeżeli masz czas, to ci opowiem jak to się dzieje.

— Mam proszę pana czas. Do kościoła jeszcze za wcześnie, a że teraz wakacye, więc do szkoły nie idę.

Pan Franciszek zdjął termometr z ramy okna i pokazując go Jasiowi, mówił:

— Przypatrz się dobrze i słuchaj, to zrozumiesz niezawodnie, w jaki sposób można poznać stopień ciepła lub zimna. Uważałeś też kiedy, że w ciężki mróz szyby u okien pękają?

— A toć przecie proszę pana w przeszłą zimę aż dwie szyby u nas pękły, niewiadomo jakim sposobem. Powiadali że to od ciężkiego zimna.

— A nie inaczej, tylko od zimna. Szyba przemarżnięta kurczy się i pęka, tak samo, jak się wszystkie przedmioty na mróz wystawione kurczą i ściągają. Przeciwnie, jeżeli wystawimy je na gorąco, będą się rozciągać rozprężać, jak naprzykład żelazo które w wielkim ogniu od gorąca aż się w płyn ciekący zamienia, a skoro go wystawimy na zimno, znów stwardnieje i skurczy się. Czy uważałeś także, że tłustość jaka, naprzykład łój ze świecy, na słońcu się topi?

— Uważałem panie.

— A żelazo stopi się na słońcu?

— E, gdzietam panie. Majster mówił mi, że potrzeba wielkiego gorąca, żeby stopić żelazo.

— Tak samo łój od małego zimna zaczyna się kurczyć i ściągać się czyli twardnieć, a twardnieje nadzwyczaj prędko, pomimo to,

że był nawet gorący. Żelazo znów przeciwnie, ochładza się wolno i kilka godzin czasu potrzebuje, ażeby ze stanu płynnego zamienić się w stan stały, to jest stwardnieć. Ztąd możesz zauważyć, że nie wszystkie ciała są jednakowo czułe na gorąco i zimno, to jest, że kiedy naprzykład łój się się zupełnie stopi, to żelazo zaledwie się cokolwiek rozgrzeje, a jest metal bardzo drogi, nazwany platyną, który nie topi się jeszcze w takim ogniu, w jakim się topi żelazo. Zywe śrebro, które nazywają merkuryuszem, jest z tych ciał właśnie, które jak na ciepło, tak i na zimno nadzwyczaj są czułemi. Mała różnica w stopniu ciepła tak oddziaływa na niego, że albo się kurczy, jeżeli jest mniej ciepła, albo się rozpręża, jeżeli go jest więcej. Przypatrz się teraz dobrze termometrowi, który po polsku nazywa się ciepłomierzem. Składa się on z deseczki z podziałką i liczbami, do której przytwierdzono rurkę szklanną, napełnioną żywem śrebrem, a zakończoną bańką. Przypatrz się dobrze, a zobaczysz, że rurka nie ma najmniejszego otworu, pomimo to jednak, że żywe śrebro w niej się mieści.

— A prawda panie! Jakim to może być sposobem?

— Poczekaj chwilkę, a dowiesz się o tém. Powiedz mi, jak myślisz: czy te liczby oznaczone na deseczce, są tak pisane jakkolwiek, jak się komu podoba?

— Mnie się zdaje proszę pana, że wszystkie termometry mają jednakowo popisane liczby.

— To ci się źle zdaje. Widziałeś u Pika termometr, ale tamten jest ogromny, i liczby popisane jedna od drugiej są położone o kilka cali prawie, kiedy tymczasem mój termometr jest mały i ma liczby popisane gęsto. Otóż widzisz jak pisać liczby, to same żywe śrebro pokazuje.

— A to jakim sposobem, proszę pana?

— Uważaj dobrze. Do rurki wprowadza się żywe śrebro następującym sposobem: rurka szklanna z otworem w końcu, który nie ma bańki, zanurza się w żywe śrebro, a bańkę rozgrzewa się nad świecą. Skoro bańka zaczyna się rozgrzewać, merkuryusz podnosi się w rurce coraz wyżej, bo się sam ogrzewa i rozciąga, a skoro podniesie się tak wysoko, że rurka wraz z bańką napełnionemi są dostatecznie, koniec rurki z otworem rozgrzewa się i otwór się zamyka. Teraz tylko należy oznaczyć stopnie, co się tak uskutecznia: zanurza się deseczkę z przytwierdzoną rurką we wrzącą wodę, wtedy merkuryusz podnosi się w rurce, a punkt w którym przestanie się podnosić, trzeba naznaczyć, i to będzie punkt wrzenia wody. Następnie zanurza się termometr w śnieg topniejący, merkuryusz opada, a punkt na którym opadać przestanie, oznacza się jak poprzedni i nazywa się punktem marżnięcia wody, czyli punktem oznaczonym liczbą 0. Od punktu wrzenia do punktu marżnięcia przestrzeń dzieli się na 80 części, z tych znów każda na 10, takich części 30 oznacza się pod punktem 0, i to właśnie są stopnie. Na tém kończy się cała robota termometru. Jakże sądzisz, w jaki sposób można się dowiedzieć, ile stopni ciepła lub zimna, jeżeli merkuryusz nad zerem pokazuje ciepło, a pod zerem zimno?

— Myślę, że o ile stopni merkuryusz podniesie się nad zero, tyle jest stopni ciepła, a o ile spadnie pod zero, tyle jest stopni zimna.

— Dobrze, tak w samej rzeczy poznaje się.

— Ale proszę pana, czy to wszystkie termometry podzielone są na tyle części?

— Nie wszystkie. Ten, który się dzieli na tyle części, nazywa się termometrem Romiura fizyka (Reamura), bo on termometr w taki sposób pierwszy podzielił, a że tak podzielony termometr pokazał się najpraktyczniejszym, zatém najwięcej wszędzie, a powszechnie u nas jest używanym.

— A czy to proszę pana tak koniecznie ludzie muszą wiedzieć ile jest stopni ciepła albo zimna? Mnie się zdaje, że bez termometru łatwo się można obejść.

— Nie mój kochany. Że ludzie wiedzą ile jest stopni ciepła lub zimna, to nie jest bez pożytku. Jakże np. ciepłomierz jest koniecznym w szpitalach, gdzie od stopnia ciepła zależy częstokroć życie człowieka, w oranżeryach i cieplarniach, przy fabrykach, gdzie gorąco ognia umiarkować potrzeba, przy machinach, na parowych wozach, bez czegoby często cały pociąg kolei żelaznej w powietrze wyleciał, a cóż dopiero przy rozmaitych doświadczeniach, idących na pożytek lekarzom, a zatém i chorującym!.. Mój drogi, jestto nieoszacowane dla nauki i do użytku często najprostszego narzędzie.

Jaś się zamyślił, pomyślał trochę i zebrawszy zawiniątko, gotował się wyjść mówiąc:

— Hm... myślałem, że to bajki z temi termometrami, ale teraz nikt mi nie dowiedzie, że termometr kłamie...

— A widzisz... przekonałeś się, to mnie cieszy, ale mylisz się, sądząc, że termometr nie może się mylić. Wtedy on jest prawdziwym, skoro jest sporządzonym z całą ścisłością i akuratnością, bo jeżeli jest niedokładnym, więc nie może być i prawdziwym. Zrozumiałeś?

— Rozumiem teraz panie.

— Cieszy mnie to bardzo mój Jasiu. Przekonałeś się zapewne także, że nie można nazywać bajką rzeczy, której się nie zna. Co?..

— A tak!..

Jaś się cokolwiek zarumienił, a wziąwszy zawiniątko i podziękowawszy dobremu panu Franciszkowi, wyszedł.

Spostrzeżenia terminatora.

III.

—

Wieczorem przy jednym z budujących się domów w Warszawie, kończyli murarze dzienną pracę. Jaki taki to kawałek drzewa, to szaflik, to inne narzędzie zarzuciwszy na plecy, żegnał swych towarzyszy tém niemieckiem wyrażeniem:

— Gut nacht!

Przechodzącym ulicą zdawało się, że to sami niemcy murarze około tego domu pracują. I ja tak myślałem, lecz podszedłszy do dwoch powracających murarzy, słyszę że mówią bardzo dobrze po polsku. Jeden z nich rzecze do drugiego:

— Powiedz mi Wacek, co to znaczy te: gut nacht?

— At! djabli ich tam wiedzą! odparł zagadnięty, to już tak u nas mówią.

— Mnie się zdaje, że to pewno musi znaczyć: bywaj zdrów, albo dobra noc.

— Aha! tak to znaczy, dobra noc!

— No, to czegoż my nie mamy rozchodząc się mówić sobie: dobra noc! nie jakiś tam szwargot niemiecki.

— Kiedy tak już zawsze mówią.

— Oha! wielka rzecz, czy to już zawsze mamy jak małpy naśladować, co do nas jaki szubrawiec przyniesie?! Niech sobie niemcy szwargoczą po swojemu, a my kiedyśmy polacy, to widzi się mi, po polsku żegnać się powinniśmy, a nie naśladować wyrazy, których dobrze nie zrozumimy. Z tego wszystkiego idzie tylko zatrata tego co nasze, a panowanie niemców.

— Masz słuszność, ale kiedy tak wszyscy mówią.

— No, to od dzisiejszego dnia ja i ty będziemy mówili po polsku: dobra noc, może nas posłuchają i inni.

— Zgoda! ale podmajstrzy niemiec nas nie zrozumie!

— A to niech sobie pójdzie do swoich!.. tu niech się uczy po polsku, kiedy jé polski chléb. Dokądże to będziemy sobie łamać języki dla grzeczności ku cudzoziemcom. Jeśli oni do nas mają interes, to niech mówią po polsku.

— A prawda. No więc dobra noc!

— Dobra noc Wacku! I rozeszli się oba.

IV.

Przed jednym ze składów pomarańcz, stał ogromny tłum żydówek z koszami na rękach. Krzyki i zgiełk były straszne, języki w żydowskiej mowie mełły z niezmierną szybkością: żydówki kłóciły się, odpychały między sobą, jedna bowiem przez drugą starała dostać się do kupca, sprzedającego owe pomarańcze. Na boku koło tej krzykliwej i zaciekłej gromadki, stało dwóch traczy chłopów jak dąb silnych, a stało tak już od dwóch godzin i przypatrywało się żydówkom. Do traczy tych podszedł jakiś pan i wezwał ich do porznięcia drzewa. Obejrzeli tracze drzewo, ale zacenili dwa razy więcej jak warta robota, właściciel drzewa nie chciał im dać tego.

— Albo my to głupi robić za te pieniądze, mówił jeden tracz do drugiego, cóżby to było, gdybym tylko pięć złotych zarobił na dzień.

I wrócili owi tracze do przekupek, a przypatrywali się ich kłótniom do wieczora, wyśmiewając się z ich zaciekłości i chęci jak najprędszego dostania towaru. Wtedy zbliżył się znów ów pan i rzekł do nich:

— Nicponie i próżniaki! nie chcieliście u mnie zarobić i zmarnowaliście dzień cały, a jeszcze śmiejecie się z tych żydówek. Otóż powiadam wam, że one mają więcej rozumu od was. Kłócą się i biją, popychają, ale to czynią w chęci dostania towaru i pracy, a wy umiecie po całych dniach tylko próżnować i śmiać się z chętnych do pracy.

Łatwy wybór.

Stało trzech parobków na środku podwórka,
Przyskoczyła do nich gospodarska córka,
Lekuchna sarenka Hanka złotowłosa,
Wyszczerzyła ząbki i patrzy z ukosa...
— O żal mi was chłopcy i śmiech pusty łechce,
Że też ani jedna z całej wsi was nie chce...
Czy to na dożynkach, czyli na weselu,
Zawsze tak stoicie, jak tyki bez chmielu.
Hej, wesołe oczy, niech się podziwuję!
Który najładniejszy tego pocałuję!
Tego pocałuję i pojmę go sobie,
I nie odstąpię go nawet w zimnym grobie.
Na tak słodkie słówko, ten ów wąsy jeży,
Hanka bystrem oczkiem każdego z nich mierzy,
Mierzy bystrem oczkiem i pokręca główką...
Ten boków podpiera, ten huka podkówką,
Jeno trzeci wojak ręką twarz zasłania...
— O nie patrz ty na mnie, ja nie do kochania!
Twarz mam porąbaną jak mięso na ćwierci,
Gdybym odjął rękę, skoczysz jak od śmierci...
Gdybym odjął rękę, sam cię strach pobije...
A w tem mu się Hanka rzuciła na szyję...
— O kochana głowo! Kwitnie róża kwiatem,
Kwitnie młode czoło zacnych ran szkarłatem!
Tyś mój najpiękniejszy, ty moje kochanie!
I skąpała wargi w niezaschniętej ranie.

Różności.

Rada miejska we Lwowie uchwaliła 1500 złotych reńskich z funduszów gminy, na podróż trzech uzdolnionych polaków, przemysłem lub rękodziełem trudniących się, którzy chcieliby zwiedzić wystawę Londyńską. Z dwudziestu dwóch kandydatów, rada miejska wybrała trzech, to jest kowala, stolarza i blacharza, którzy jej kosztem pojadą do Londynu obejrzeć wyroby ze wszystkich krajów na pokaz świata zebrane. Są tam i wyroby polskich rękodzielników i fabrykantów, które wykazują że i u nas rzemiosła i przemysł rozwija się jak może.

— Pod austryackim i pruskim rządem w ziemiach polskich, na urzędach i w szkołach, używają niemieckiego języka, jakby Polacy Niemcami byli. Dawno już tam nasi starają się i u rządu i na sejmach, ażeby przecież wprowadzili do szkół i na urzęda język polski, bez którego ani urząd dobrze rządzić, ani w szkołach dobrze uczyć nie można, ale naprózne były wszystkie starania. Teraz, do gminy miejskiej w Cieszynie w Górnym Szlązku, nadeszło rozporządzenie ministeryalne, aby język polski więcej niż dotąd w szkołach miejskich był uwzględniony. Mają być osobne oddziały polskie obok niemieckich urządzone, w których wykładać będą nauki w języku polskim.

— Roku 1861 było w Szląsku austryackim 8 szkół głównych, 369 ludowych, z 262 niemieckich, 101 morawskich, 66 polskich, (w wielu szkołach jeszcze uczą po czesku, choć ludność mówi po polsku.) Do szkół tych uczęszczało 53,324 uczni; nauczycieli było 344, pomocników 150. *(Gwiazdka Cieszyńska.)*

— Pani Józefa Kamocka, wydała w Warszawie dwie ładne i bardzo tanie książeczki do nabożeństwa, jedną dla dziewcząt, drugą dla chłopców. Każda książeczka kosztuje tylko 25 groszy. Prócz pięknych modlitw, są w nich i obrazki Najświętszej Panny Częstochowskiej i Ukrzyżowanego Chrystusa.

— Wyszła z druku Arytmetyka (za groszy pols 8), to jest cztery działania z liczbami całemi. Książeczka ta z 32 kart złożona, staraniem redakcyi Biblioteki Warszawskiej wydana, nadzwyczaj popularnie przez p. Żulińskiego napisana, prawdziwie użyteczną będzie dla szkółek i ochron. (*Gaz. Pols.*)

— Aby młodzież niezamożna rzemieślnicza czas wolny od zajęć mogła obrócić na naukę i kształcenie się, Towarzystwo Dobroczynności Warszawskie, za zezwoleniem Kommissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego, urządziło przy niektórych szkółkach elementarnych w Warszawie dla tejże młodzieży bezpłatne lekcye wieczorne. Nie potrzeba dowodzić ich użyteczności. Lekcye będą wykładane w dwóch poziałach przez kilku nauczycieli szkół publicznych, a zarazem członków Towarzystwa Dobroczynności, którzy gotowość swoją w tej mierze bezinteresowną oświadczyli. Już przy kilku szkółkach elementarnych, lekcye wieczorne sposobem próby są zaprowadzone. (*Gaz. Pols.*)

— W osadzie Ryki w Żelechowskim, staraniem miejscowego chirurga i proboszcza, powstała szkoła. We wsi Banda Górna w Sandomierskim, sam właściciel p. Tomasz K. uczy dzieci włościańskie. W Rzęgnowie w Prasnyskim, dnia 29 Listopada z. r. założona szkółka, niektóre dzieci po trzechmiesięcznej nauce nauczyły się dobrze czytać, pisać liczby i litery, dodawać i mnożyć z pamięci. *(Gaz. Pols.)*

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 6 Lipca 1862 r.